

**Ostatnie chwile.**

Wielu, bardzo wielu ludzi chętnieby z życiem skończyło, które jak brzemie nie do zniesienia im ciąży! Jak jarzmo, co rano na kark wkładane, a wieczorem na krótko zdjęte, by powietrza na znój dnia następnego zaczerpnąć!

Wielu, ach, wielu do śmierci wzdycha. Nie mogąc się jednak odważyć na krok stanowczy, który... niewiedomo dokąd prowadzi....

— Dokąd? Dokąd? — pyta młode dziewczę, z szeroko otwartymi oczami, leżąc na łóżku i wpatrując się w niemy sufit podczas gdy silna gorączka wątlęciem ciałem wstrząsa.

Żywej duszy przy niej niema, do którejby się mogła z pytaniem tem zwrócić! Ani opuszczonego jakiegoś zwierzęcia nawet, którego los jednaki z jej smutnym łosem by ją pogodził!

Ach, ta samotność! Samotność w godzinę śmierci! W ostatniej chwili życia! Samotność, co jej towarzyszyła przez wszystkie dni posępnego żywota!

Gdzie jest Bóg, by murami wstrząsnął i żywymi istotami tę pustą izdebkę zaludnił? By pokazał, że Bogiem jest! By ją dla której wszystkie godziny jej życia męką konania były, promienną jasnością rodzinnego ciepła w jej ostatniej godzinie otoczył!

Niema odpowiedzi. Chore dziewczę rozpaloną głowę wciska w poduszkę. Kroplisty pot oblewa ciało. Przerażony wzrok tkwi w suficie, na którego mętnej bieli majaczą się obrazy wspomnień...

Mała dziewczynka — czteroletnia zaledwie — tańczy wokoło konia, który się nazywa Hotto.

Kiedy dziewczynka zawoła: „Hotto!“ — koń idzie wślad za nią. Do samego morza dałby się wprowadzić, gdyby mógł w ten sposób wierności swej dowieść.

Wieśniacy uśmiechają się na widok „małej Ellen“ i „wielkiego kudłatego konia“, mówiąc:

„Co za dobrana para!!!...“  
Co niedziela przychodził ojciec z miasta. Ma ogromną brodę, jak karzełki w książeczkach z bajeczkami. Idzie z małą na łakę; łowi jej młode żabki, co tak śmiesznie przez ręce skaczą, motylki w siatkę, goni małe cielątka.

Ellen jest szczęśliwa. Ale byłaby stokróż szczęśliwsza, gdyby ojciec razem z nią śmiał się do wtóru. Ojciec jednak nigdy się nie śmieje. Robi tylko wszystko, co może, aby dziecku swemu przyjemność sprawić.

Matka? Niema matki. Jest za to słońce, co ciepłą dłoń na główkę Ellen kładzie... No i Hotto coś także wart...

Szkola... Wielki gmach szkolny w centrum miasta ze złotym szyldem nad bra-

ma wejściową i podwórzem, wysadzonym klonowymi drzewami. Dla uciechy działwy chyba posadzono klony przed szkołą! Cóż to za rozkosz w lecie zrobić okulary z klonowych liści, na mosek je założyć i panią nauczycielkę udawać!

Po opuszczeniu szkoły Ellen z zieleni wpada w szarżynę. Mieszka w małej izdebce u pewnej pani. Ojciec dawno już nie żyje. Każdego popołudnia po szkole musi być naczynie umyte i kuchnia czysto uprzątnięta. Potem idą zadania szkolne, sprawunki, po podwieczorku cerowanie pończoch, obieranie kartofli i jarzyn.

Dzień w dzień pani przypomina Ellen, jak dobrą jest dla niej; oplaca jej jedzenie, odzież i szkołę....

Ellen wie, że pani ma słusność, ale czuje się taka nieszczęśliwa przytem. Płacze nad swymi lekcjami szkolnymi, płacze, kryjąc twarzyczkę w drobne spracowane rączyny....

Dlaczego płacze? Ach, ciężki kamień pierś jej przygniata!

Pewnego dnia pani rozmawiała z sąsiadką. Ellen była w sąsiednim pokoju, o czym obydwie nie wiedziały.

Ellen słyszy:  
— Co pani mówi...? Z jakiego powodu?

— A no, miał chorobę, wie pani, taka, o której lepiej nie mówić.

— Cooo... Ojciec Ellen?

— Ależ tak. Napewno. I to w wysokim stopniu.

— Hm... Nic dziwnego, że sobie kulkę wpakował w głowę...

— Zapewne. Ale z jakiej racji mnie swoją dziewczynę za te parę groszy narzucał...?

Ellen sylabizuje ostatnie słowo, które w zeszytce napisała. Sylabizuje przez całe pół godziny i jeszcze nie rozumie, co ono oznacza?

Ulica. Wielkomijska ulica. Kilkopiętrowe domy, wystawy w oknach, szyldy, śpieszący się ludzie, węże turkoczających i warczących aut.

Ellen, stojąc w tramwaju, łyka ostatni kęs swej bułeczki. Złe się czuje. Jest senna, chora. Głowa jej ciąży. Z trudem prosto ją trzyma między łopatkami.

Na Placu Parady wyskakuje jeszcze przed zatrzymaniem się tramwaju na ulice i pędzi do magazynu z rękawiczkami; kłamie się właścicielowi, który co rano przy jej wejściu patrzy na zegarek i staje za ladą sklepową.

Siedzieć nie wolno. Zasadniczo siadać nie można w obecności właściciela magazynu. W czasie handlowego zastój nawet stać trzeba za ladą i oczekiwać klientów.

W pół godziny po Ellen nadchodzi jej koleżanka. Ubrana szykownie w popielatą lub jasno-czerwoną albo bladoniebieską sukienkę, w cieniutkich pończochach. Przeprasza, kiedy się spóźni. Nie potrzebuje zresztą tłumaczyć się. Właściciel nigdy na zegarek nie spojry, jak ona do magazynu

nu wchodzi. Siada też, od czasu do czasu, kiedy stanie się jej uprzykrzy...

Pewnego dnia zaprosiła Ellen do baru. Izba w żółto-czerwone pasy. Pełno dymu. Muzyka. Głębokie wnąki - niszce ze stolkami o migotliwie płonących lampkach w dzień po obu stronach sali.

Obstałowała dwa likiery. Ober-kelnera przywitała, jak dobrego znajomego. Nogą wybija rytm tanecznej muzyki.

Spojrząwszy na Ellen ze współczuciem, odzywa się do niej półgłosem:

— Na co ci dano ładne ciało, nieboże?

Dwaj młodzi panowie podeszli do stolika. Jeden przystojny i dobrze ubrany przy Ellen siada i zaczyna z nią na „ty“ rozmawiać.

Ellen nieswojo z początku, ponieważ jednak pan jest miły i ładnie się do niej uśmiecha i ona mówi „ty“ do niego.

Po pięciu minutach wszakże pan jest źle wychowany, niegrzeczny.... Jedną ręką obejmując jej szyję, a drugą za bluzkę sięga...

Ellen zrywa się z krzesła i daje mu w twarz. Muzyka grać przestaje, wołają gospodarza, który prosi Ellen o natychmiastowe opuszczenie lokalu....

Od ośmiu lat Ellen mieszka na tej samej ulicy, pracuje w tym samym magazynie, widzi te same twarze. Osiem długich, beznadziejnie smutnych lat, po których nagle, jak piorun z jasnego nieba, spada na nią dymisja....

Nazajutrz, jak zwykle, wczesnym rankiem Ellen śpieszy do tramwaju i staje tuż przy wejściu.

Kiedy wóz przez most przejeżdża nagle wyskakuje z tramwaju. Nim motorniczy, konduktor i pasażerowie zdążyli się zorientować i przeszkodzić, już jest na poręczy mostu i rzuca się do rzeki....

Słyszy krzyk ludzki za sobą, czuje dziwnie ostry pęd powietrza w uszach, nagle zimno.... i traci przytomność.

Jasny promień słońca pada na sufit. Co to za czarny punkt nagle na gzymsie się ukazał? Pełza. Staje. I znów pełza.

Pająk... Naprawdę... pająk... żywa istota... której można... zadać pytanie... dokąd się idzie po śmierci...!

Jakiś zegar bije w mieście. Ellen nasłuchuje. Jedno uderzenie. Pierwsza godzina. Jak ludzie mówią? Pająk w południe przynosi szczęście... na dzień trzeci...?

Ellen dzisiaj umrze... Więc... na trzeci dzień... zmartwychwstanie...? Po co...? Na co...? Dokąd...? Znowu na Milchstrasse 54...? W centrum handlowem...? Dzień dobry, panie Grömer... Ile pan płaci miesięcznie... w przybliżeniu... za reklamę świetlną... w takim punkcie miasta...? Gratis...? Ha, ha, ha...! Gratis... Jakże to śmieszne...!

Lekarz pogotowia ratunkowego stwierdził śmierć na skutek ataku sercowego około godziny 1-ej po południu.

Tłum. Jotsaw.



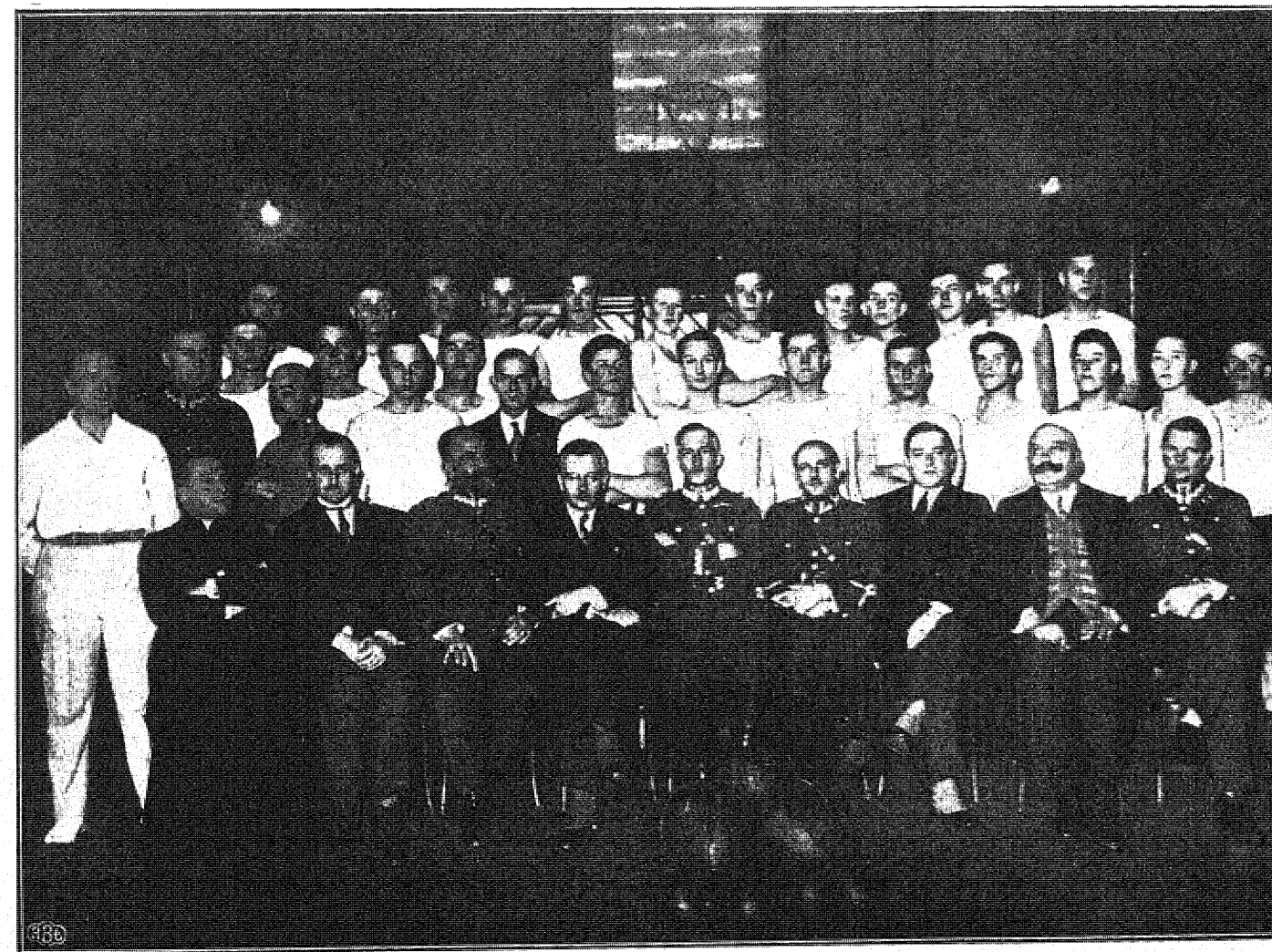
DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok V.

Łódź, dnia 15 stycznia 1928 roku.

№ 3.

## Kurs instruktorów wiejskich Przystosobienia Wojskowego.



Idea tężyzny duchowej i fizycznej wśród młodzieży tak świetnie rozwijająca się w ośrodku życia wielkomijskiego, znalazła niemię podatny grunt i na wsi. Idei tej w chwili obecnej hołduje i służy cała młodzież wiejska, zgrupowana w Stowarzyszeniu Młodzieży Katolickiej.

Na zdjęciu widzimy uczestników kursu instruktorów wiejskich Przystosobienia Wojskowego w Łodzi z przedstawicielami władz Łódzkiego Ośrodka Wychowania Fizycznego.

Fot. A. Meyer.

## TEATRALIA.

„Pani Dulski” rediviva. — „Szkoła wdzięku”. — Jubileusz „Halki”. — Z teatralnej prowincji. — Miscellanea zagraniczne.

Bardzo dobrze się stało, że Teatr Polski w Warszawie, znudzony nieco omłotem współczesnej słomy komedjowej, liczonej na furię — sięgnął do twórczości przedwojennej i wystawił jedno z jej najznamiętszych dzieł: „Moralność Pani Dulskiej” — Gabjeli Zapolskiej. Jeżeli nawet to i owo w szczegółach tej sztuki i w jej wiązaniach satyrycznych zbladło po latach dwudziestu, bądź też utraciło moc bezpośredniego oddziaływania, to — mimo wszystko — nieśmiertelnym pozostał doskonały, pogłębiony i realistyczny schemat „tragikomedji” z bohaterką „panią Dulską” na planie najpierwszym. „Moralność Pani Dulskiej” jest bezwątpienia najlepszym scenicznym i najdonioślejszym społecznie utworem teatralnym Zapolskiej. Jest to wogóle utwór szczytowy w naszej literaturze dla gatunku komedji mieszczańskiej; obserwacyjne i satyryczne talenty Zapolskiej, narówni z jej instynktownym wprost wycuciem sceny, znały tu sobie wyraz znakomicie i dlatego „Pani Dulski” w zapomnienie nigdy nie pójdzie.

Pod batutą reżyżerską Jerzego Leszczyńskiego (uczestnika pierwszego przedstawienia „Pani Dulskiej” w Krakowie) grano „tragikomedję” bez zarzutu, w czym zasługa przedewszystkiem pp. Słubickiej (Dulski), reżysera — w roli Zbyszka, Fritschego (Dulski), Pancewiczowej (Hanka), nie wymieniając pozostałych, stojących również na wysokości zadania.

Z okazji wznowienia „Pani Dulskiej” — przyjaciółka nieżyjącej już autorki, p. Amie la Kallas, pomieściła w jednym z dzienników stołecznych garść wspomnień, związanych z historią powstania pomysłu sztuki. Najciekawszym z tych wspomnień jest stwierdzenie, że dla skonstruowania postaci Dulskiej posłużył Zapolskiej model żywy i rzeczywisty, mianowicie pewna dama z mieszczańskiej sossjety lwowskiej. Około tego wzoru rozsunęła Zapolska całą akcję komedji, tworząc tło i sztafaż dla niezapomnianego portretu. Po raz pierwszy wystawiono „Moralność Pani Dulskiej” w Krakowie za dyrekcji Solskiego, zresztą w nieobecności Zapolskiej, która ciężko chora zmuszona była wyjechać w tym czasie na dłuższą kurację zagranicę. Jak się to często wśród autorów zdarza, Zapolska sama nie uważała bynajmniej „Pani Dulskiej” za najlepszy swój utwór sceniczny, przenosząc ponad nią „Skizę” i „Pannę Malczewską”. A jednak w oświetleniu zdarzeń naszej kroniki teatralnej, „Pani Dulski” właśnie wykazała największą trwałość i odporność na próbę czasu, co dowodzi, że autorzy w ocenie własnych dzieł niezawście mają rację.

Teatr Letni amerykańizuje się nagwałt. Po „Fenomenalnej umowie”, o której pisaliśmy niedawno, spreparowano w Ogródzie Saskim nowe danie sceniczne, znowu amerykańskich autorów: pp. A. Miller i R. Milton'a, p. t. „Szkoła wdzięku”. Tym razem

rzecz jest mdła i nudnawa, wkraczając raczej w dziedzinę teatrzyku dla... młodzieży. Po za brakiem teatralności w europejskim tego słowa znaczeniu, komedjy nie posiada również amerykańskich cech oryginalności. Słowem — letnia woda, w której rozpuszczono trochę dobrego ale niewyzyskanego pod żadnym względem pomysłu. Pomysł ten polega na tem, że pewien młody urwopoleć dziedziczy po swej ciocie... pensjonat dla młodych panienek i do tego pensjonatu wprowadza w charakterze profesorów paru swych wesoło usposobionych przyjaciół. Z takiego pomysłu — wzorując się choćby na miasteczku się „Nitouche” — możnaby zrobić pierwszorzędną szopę, zdolną rozweselić zawodowych na wet hipochondryków. Ale na taki czyn nie starczyło amerykańskim autorom ani odwagi, ani talentu.

Nie wszystkim z pewnością miłośnikom opery wiadomo, że w dniu 1 stycznia r. b. upłynęło 70 lat od pierwszego wystawienia



Tancerka paryska w nowego pomysłu kostjumie świecącym, sfotografowana przy świetle dziennym.

„Halki” w warszawskim Teatrze Wielkim. Działo się to na Nowy Rok 1858, za dyrekcji Karola Kurpińskiego, a publiczność przyjęła dzieło znanego już wówczas kompozytora — entuzjastycznie. Ogromne powołanie „Halki” pozwoliło Moniuszce na wyjazd zagranicę dla dalszych studiów muzycznych, po powrocie zaś zapewniło mu stanowisko dyrektora opery warszawskiej, na którym pozostawał aż do śmierci w r. 1872. Wcześniej niż Warszawa poznało „Halkę” Wilno, bo już w r. 1847. Trudności wprowadzenia „Halki” na scenę warszawską pochodziły z odmiennych upodobań artystycznych ówczesnego jej kierownika, Nideckiego, który przytem zrażony był niepowo-

dzeniem wystawionej poprzednio w Warszawie pierwszej opery Moniuszki p. t. „Loterja”. Dodamy jeszcze, że libretto „Halki” napisał głośny podówczas poeta, Włodzimierz Wolski i że początkowa koncepcja „Halki” w formie opery dwuaktowej uległa przed r. 1858 przekształceniu na utwór czteroaktowy.

Otrzymujemy szereg interesujących szczegółów, dotyczących działalności Teatru Miejskiego w Krakowie na najbliższe miesiące. W styczniu rozpocznie teatr zapowiedziane „czwartki literackie”; na pierwszy ogień pójdzie sztuka Stefana Grabińskiego, odznaczająca się niezwykłością problemów, zaczerpniętych z dziedziny okultyzmu oraz nowością środków teatralnych. Tytuł — „Larwy”. Następnie wystawione będą kolejno: „Wymiana” — Claudela, „Improwizacja” — Maxa Mohra, Rechfische — „Pojedynk na Lido” i Lenormad'a — „Mikstury”. Repertuar karnawałowy wypełnią: komedja Hirschfelda — „Mamusia” krotkowiła Devala — „Gójat i Cherubin” oraz Wł. Perzyńskiego — „Lekarz miłości”. Z wielkiego repertuaru teatru krakowskiego w końcu tygodnia styczniową wystawia „Fausta” w tłumaczeniu Zegadłowicza, w obu częściach. Część pierwsza obejmuje 18 obrazów w 13 dekoracjach. Arcydzieło Goethego otrzyma formę plastyczną, zbliżoną do gotyku polskiego, z użyciem motywów średniowiecznej architektury Krakowa.

Opera poznańska wystawiła na zakończenie roku ubiegłego niegrane dotąd arcydzieło znanego kompozytora Henryka Opieńskiego p. t. „Jakób Lutnista”. Zarówno akcja, jak muzyka tej opery oparta jest na dawnych - historycznych i muzycznych polskich tematach. W muzyce tej — jak twierdzi krytyka — znajdujemy cały skarbiec melodyj polskich XVI wieku, co czyni tę staropolską operę szczególnie cenną i ciekawą. W akcji — czasy Henryka Walerzego — jest stylizacja dyskretna przeżyte ludzi dawnych z przed półczwartą wieku. Operę, w której poważną rolę, prócz solistów, grają również chóry i balet, przyjęto z wielkim uznaniem. Dyrygował sam kompozytor, przybyły specjalnie ze Szwajcarii, gdzie stale zamieszkuje, na uroczystość premierową.

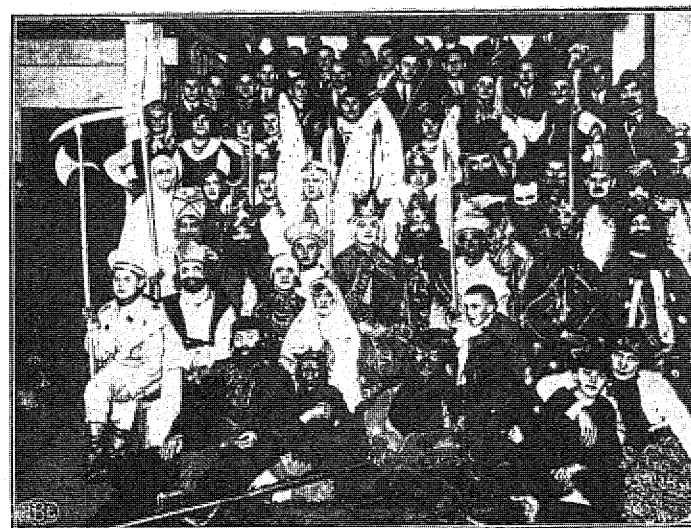
„Koczujący” w tym sezonie Stefan Jaracz, wystąpił w swej popisowej roli, w Perzyńskiego „Szczęściu Frania” z własnym zespołem, na scenie Teatru Polskiego w Poznaniu. Jaracz gra naturalnie, jak Jaracz, co potrafiła ocenić publiczność miejscowa; szkoda jednak, że występy tego znakomitego aktora, znajdującego się — miejmy nadzieję — chwilowo po za nawiasem jakiegoś wielkiego teatru polskiego, odbywają się w gronie, dobranej nieco przygodnie, a więc niezupełnie szczęśliwie.

Jeden z teatrów w Pradze Czeskiej — („Svandove Divadlo”) wystawił komedję Stefana Krzywoszewskiego p. t. „Colombina”. Sztuka polskiego autora przyjęta została bardzo życzliwie.

Delta.



Wizyta J. E. ks. biskupa dr. W. Tymienieckiego w zakładzie wychowawczo-rzemieślniczym Towarzystwa „Przyszłość” w Łodzi, przy ul. Dworskiej Nr. 14.



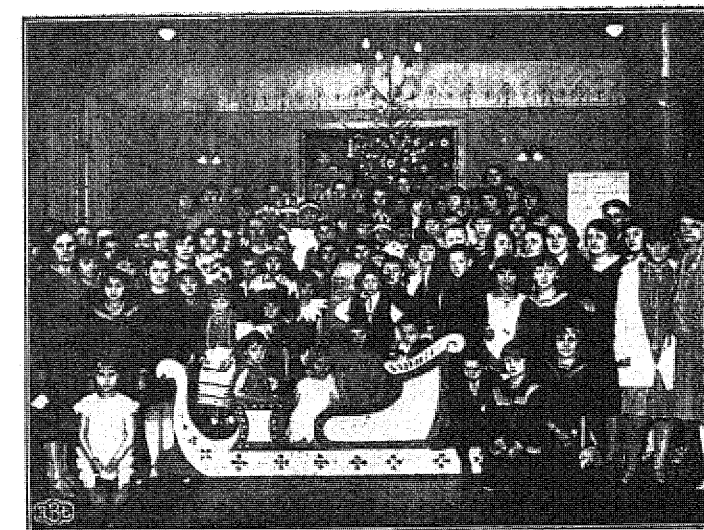
Jaselka polskie młodzieży zakładu wychowawczo-rzemieślniczego Towarzystwa „Przyszłość”.



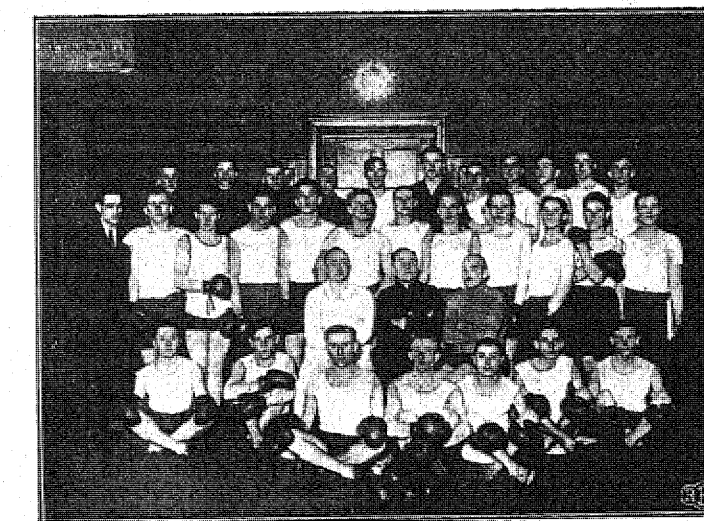
Uczestnicy balu reprezentacyjnego Akademickiego Koła Łodzian, który się odbył w sali Filharmonji w dniu 3 b. m.



Młodzież Instytutu Głuchoniemych w Łodzi w kaplicy szkolnej z ks. dyrektorem Kajetanem Nasierowskim na czele po przyjęciu Komunii Świętej.



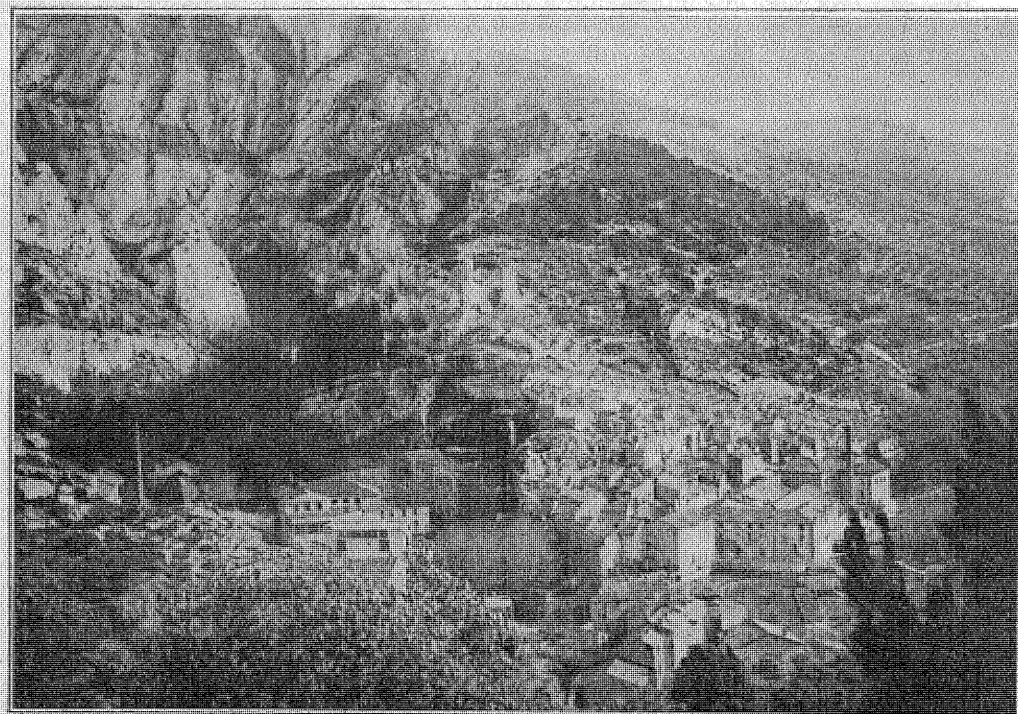
Zabawa kostjumowa dzieci w sali Tow. Śpiewaczego im. Moniuszki, w dniu 8 b. m.



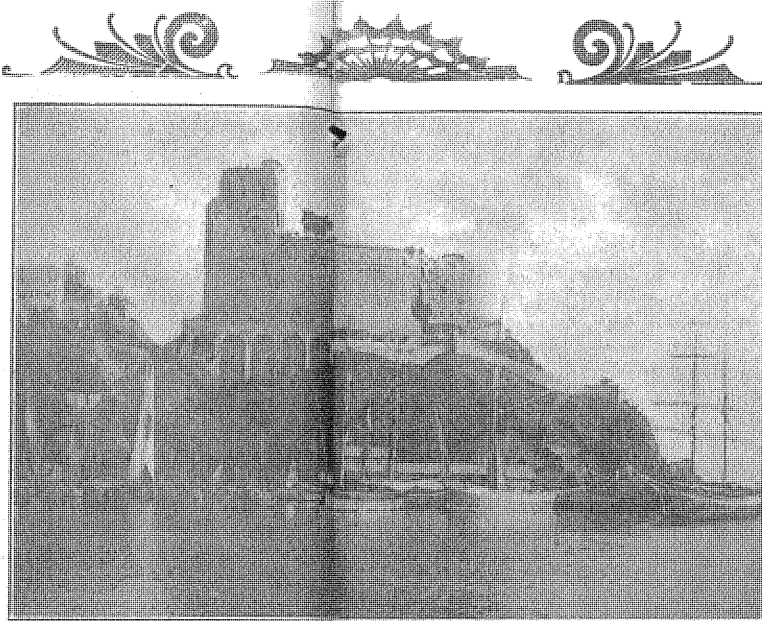
Grupa lekkoatletyczna Przesposobienia Wojskowego na kursie instruktorów wiejskich w Łodzi. Fot. A. Meyer.



Dekoratorzy paryskich scen teatralnych przerwili się na wdzięczne pole wytwarzania wszelkiego rodzaju pomysłów dekoracyjnych. Do takich należą dekoracje świecące, powstające przy pomocy siarczynu cynku. Na zdjęciu widzimy autora dekoracji świecących przy pracy.



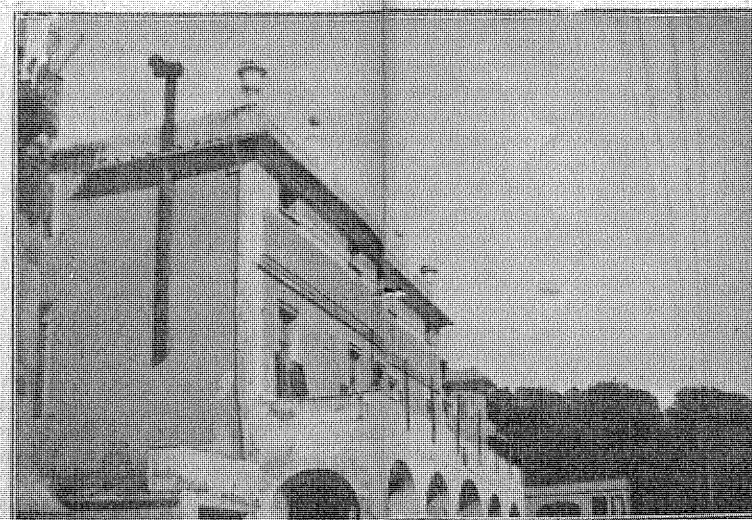
Vaucluse, miasteczko w pobliżu Awinionu, w którym Petrarca spędził wiele lat swego życia i gdzie napisał większość swych utworów.



Stary zamek w Lerici.



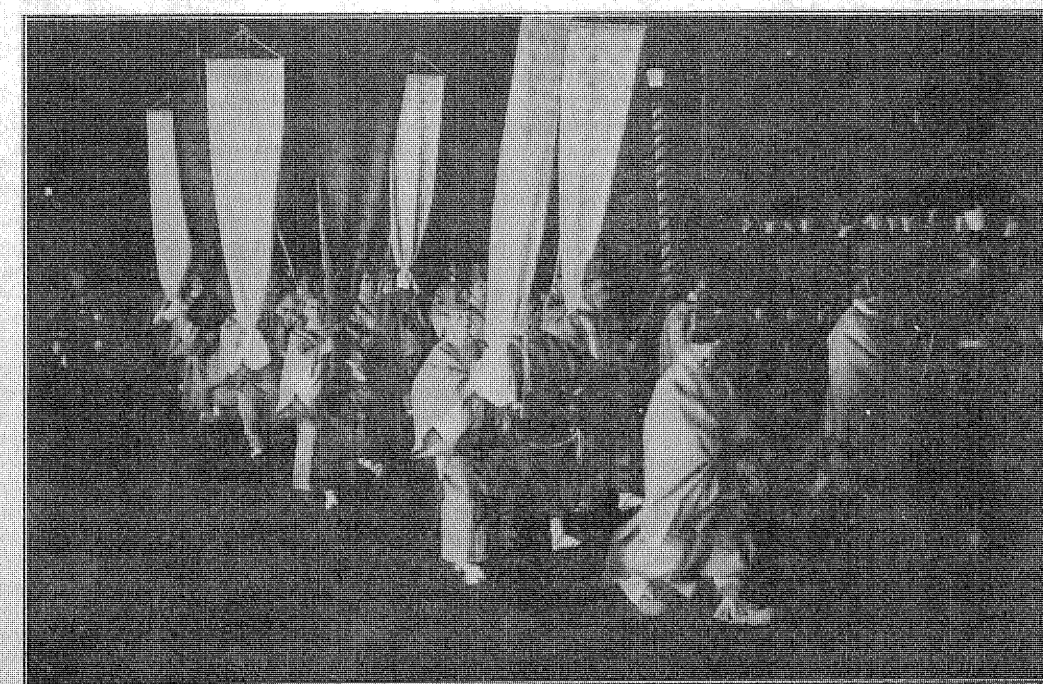
Gmach muzeum narodowego peruwiańskiego w Limie.



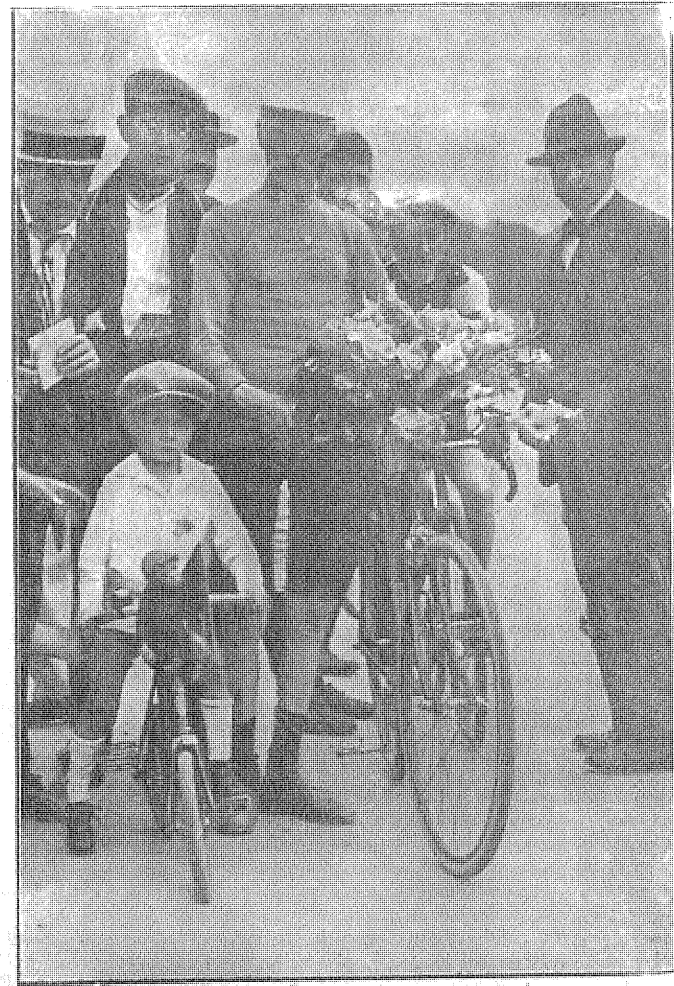
San Terenzo, zwane zatoką poetów z domem Seälleja.



Do najpopularniejszego sportu letniego w Ameryce należą wyścigi strusi w zaprzęgu. Na zdjęciu widzimy kwadryłę wyścigową lekką ze strusiem, biorącym udział w wyścigu.



Charakterystyczny przemarsz chorażych w Japonii.



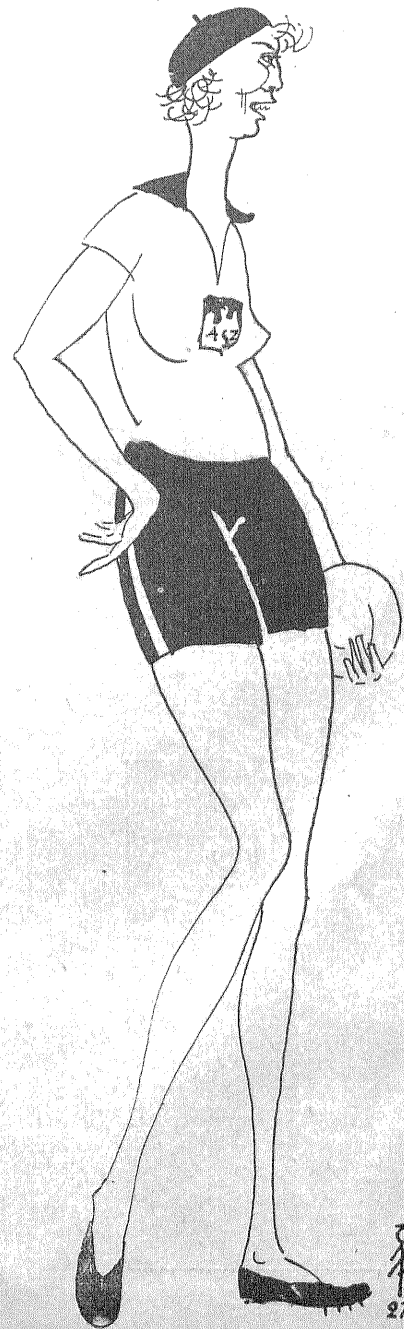
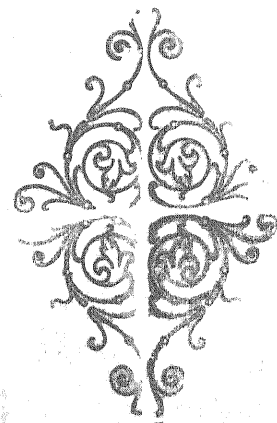
Najstarszy i najmłodszy z kolarzy francuskich.



Na saneczkach w Zakopanem.

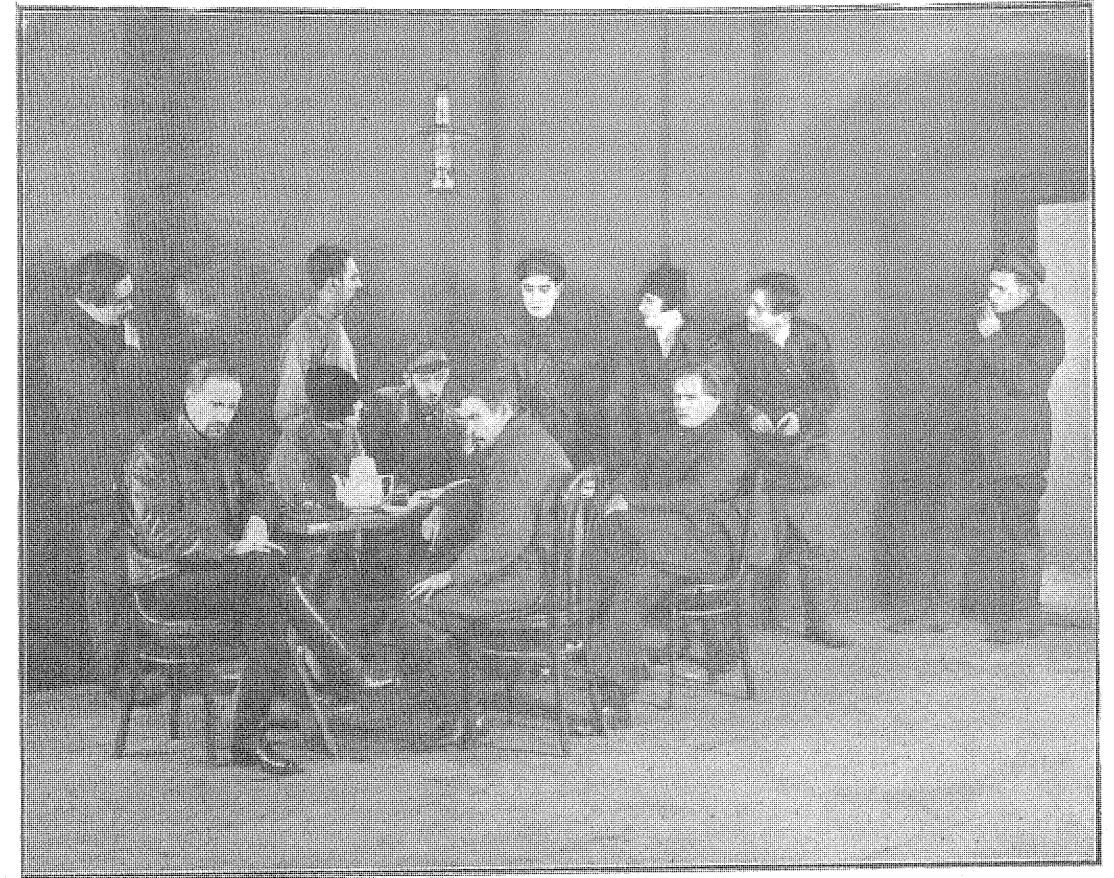


Chłuba hippiki polskiej, major Toczek, w czasie skoku.



Halina Konopacka w karykaturze

27



Wspaniały film produkcji krajowej p. n. „Mogila Nieznanego Żołnierza“, wyświetlany w kinoteatrze łódzkim „Casino“. Na zdjęciu fragment jednej z charakterystycznych scen, wyobrażający burzliwe posiedzenie sowietu włościańskiego.



„Niewolnica z Szanghaju“, film odzwierciedlający wojnę w Chinach, wyświetlany w kinoteatrze „Czary“.



Pełen temperamentu Douglas Fairbanks w najnowszym obrazie wytwórni „United Artists“.

## Zakład.

Wesołą gromadką spędzali lato w Knocke-sur-mer: artyści, artystki, jeden poeta i dwóch przyjaciół sztuki. Wypoczywali, kąpali się, tańczyli, flirtowali. Rozluźniały się od lat niezmiennione węzły, zadzierzgały się nowe, przeżycie gonilo przeżycie — wszystko to pod znakiem „letniej miłości“, która z falą przychodzi i odpływa z falą.

Tylko poeta zakochał się na śmierć i życie w pięknej artystce Georgetcie, amantce z teatru, którego był literackim kierownikiem. I Georgetta tak była przytłoczona nadmiarem tej miłości, że jej jedynej lato przeszło... bez miłości. Nieraz już chciała wysłuchać poety — ale on tego wyczuć nie umiał i we właściwej chwili błędził wśród obłoków i gwarzył z gwiazdami, zamiast zabłądzić do pokoju Georgetty i całować gwiazdy jej oczu.

To też gdy wszyscy powrócili jesienią do ich nadreńskiego miasta z rozkosznymi wspomnieniami, Georgetta stanęła do pracy z goryczą.

Pewnego dnia podczas dużego antraktu „Snu nocy letniej“, brać artystyczna, zebrana w garderobie reżysera, przypominała pobyt w Knocke-sur-mer. Wyraził: piasek, morze, burza, fale, skały, djuny, mewy, ryby — w dziwnej stały sprzeczności z uszmiłkowanymi twarzami artystów i fałszywym szychem ich fantastycznych szekspirowskich strojów. Dla rozweselenia nastroju, spytał reżyser Georgetty, grającej dziś Hennie:

— Kiedy zaręczyny z poetą?

— Nigdy! — wyrzekła Georgetta pompatycznie, podkreślając słowo scenicznym gestem.

— Czyżby dlatego, że poeta głupi? — zagadnął jeden z artystów.

— Ejże! Sprytniejszy on i bardziej chytry od was wszystkich i gracz niegorszy! — zawołała koleżanka Georgetty.

— To prawda! — zgodnym stwierdził chórem. — Poeta udaje tylko zakochanego. Nie chodzi mu ani o zdobyc, ani o wzajemność, a tylko o przeżycie, które mu da temat do nowego dramatu. Myśli o rymach a nie o miłości.

To oburzyło Georgetę.

— Nie jest zakochany? Ależ ja mogę z nim zrobić, co zechcę. Koło palca go sobie owinę! Do stóp mych rzucę!

— Koło palca owinać — to się nie udało — oświadczyli wszyscy. — Ale jeśli chce dowieść jego miłości, niechaj sprawi, aby tego wieczoru jeszcze, przed północą, poeta ukląkł przed nią.

Georgetta zaśmiała się swobodnie. To drobnostka!

— Czy się założy?

— Oczywiście!

— O co?

— Jeśli przegram, funduję wam wszystkim na kolację tyle ostryg, że aż do następnego pobytu nad morzem będziecie uciekać na sam zapach muszelek.

— A my, jeśli wygrasz, składamy się i kupujemy ci futro nurkowe z wiadomego sklepu w Aleji Królewskiej, którego nie chcesz z niezrozumiałej prudencji przyjąć od naszych przyjaciół sztuki z Knocke-sur-mer. Zgoda?

— Zgoda!

— Rękę!

— Oto jest!

— Przecinajcie!

— Hola! Ustalić dokładnie warunki zakładu!

— A więc: przed północą poeta ma ukląknąć przed tobą na obydwie kolana...

— Na jedno wystarczy!

— Na jedno lub dwa kolana, wszystko jedno gdzie....

— Ależ to za łatwe! — pyszniła się Georgetta. — Wszystko jedno gdzie, więc i u mnie, w garderobie, u niego? Za łatwe! Obierzcie pewne miejsce określone, które wydaje się wam nieprawdopodobne.

— Na moście nad Renem?

Wybuch śmiechu.

— Doskonale! Na moście przed północą, na obydwie kolana. Oto moja ręka!

Przecieli. Zakład zawarto.

Po skończonym przedstawieniu gromadka artystów udała się samochodami do małej kawiarenki nad Renem, skąd widać było doskonale oświetlony latarniami i blaskiem księżyca most. Wezwali telefonicznie obydwóch „przyjaciół sztuki“ z Knocke-sur-mer — coś im pokażą niezrównanego! (Trzeba się przecież tym filistrom zrewanżować za kolacyjki, wycieczki i kwiaty)

Poeta tymczasem wyczekiwał, jak każdego wieczoru, na wyjście Georgetty, aby ją odprowadzić do domu. Czekał dłużej, niż zwykle, już obawiał się, czy jej nie przeczł w tłumie — gdy stanęła koło niego, porywająca i kusząca piękna..

— Może dla odmiany pójdziemy dziś przez most? — spytała.

Zachłysł się szczęściem. Przez most! W księżycową noc z nią nad rzeką! Z nadmiaru wzruszenia skłamał tylko głową.

Szli w milczeniu. Ona rozwijała w myśli swój plan, a on snuł marzeń mić złotą, oszołomiony, wzruszony, pełen uwielbienia.

Wyraz swemu szczęściu dał dopiero, wręczając mostowemu srebrną monetę, jako rogatkowe.

Kroczyli wśród żelaznych przesł, tajemniczo rysujących się w seledymowym świetle nocy.

W najwyższym punkcie sklepienia łukowego mostu Georgetta zatrzymała się. Oparta o filar, spoglądała z tęsknotą na mknące po firmamencie srebrne obłoczki.

— Teraz, lub nigdy! — pomyślał poeta i rozpoczął atak. Gładząc rączkę Georgetty, której nie usuwała, mówił o swej miłości, o chęci porwania ukochanej z tego miasta małości i obłudy, uwiezienia jej gdzieś, daleko, aby, nieznaną nikomu, mogli poświęcić się sobie. Gdybyż to był most w Kolonii i wieżycie „Domu“ pięły się do nieba w strzelistym, jak ich serca akcie...

Georgetta wolno wysunęła dłoń z rąk poety, skrzyżowała ramiona na piersiach i zadeklamowała:

„W Renie, błękitnej rzece,

W jej fal przejrzystej toni

Przełgają się wieżycy

Starej katedry Kolonii.

W katedrze jest obraz święty

Małowan na złotej skórze,

Co blaskiem swym ukoł

Mojego życia burze...“

Kiedy tak stała, osrebrzona księżycem ze skrzyżowanymi rękami, oparta o strzelisty filar, błędząca wzrokiem wśród gwiazd wydała się pocięciem świętą, co z obrazu na padół placu zstąpiła.

— Madonna... — wyszeptał i osunął się na kolana.

A wtedy zachłanna, niepowstrzymana wesołość opanowała gromadkę w kawiarni, obserwując z okna całą scenę. Bili brawo, zaśmiewali się, tłoczyli — aż wreszcie młody komik nie wytrzymał, wybiegł z kawiarni i krzyknął, złożony dłońmi koło ust:

— Wygrałaś Georgetto!

Okrzyk dobiegł do klęczącego poety. W nagłym przeblysku zrozumiał wszystko i podniecony śmiechami całej gromadki, wyległej z kawiarni, rzucił się na Madonnę, która mu się nagle djablicą zdała i silnym pchnięciem przerzucił ją przez poręcz mostu do wody...

Nie daremno Georgette brała w Knocke-sur-mer rekordy pływackie! Dopłynęła szybko do brzegu i wkrótce cała gromadka odwoziła ją do domu.

Tylko miłość utopiła się! Miłość poety w fali śmiechu widzów podniosłej sceny, a miłość Georgetty — (bo drzemała w niej dotąd tajemnie) w zimnej toni Renu.

Poeta pocieszył się tragedją, spłodzona na tle przeżytej komedji.

Artystka pocieszyła się futrem nurkowem, otrzymanem nazajutrz po rozegraniu zakładu wraz z pokwitowanym rachunkiem. Czy jako wygraną od kolegów — czy jako pociechę od jednego z wzmoconych w nadziei wielbicieli sztuki, czy też formalnie — od tamtych, a faktycznie — od tego — nie wiadomo. Georgetta nie usiłowała ustalać tego faktu.

Tłum. Ir.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok V.

Łódź, 22-go stycznia 1928 roku.

Nr 4.

## „Tajfun” w Teatrze Miejskim.



W dniu 7 stycznia r. b. Teatr Miejski w Łodzi wystawił przepiękny dramat w 4 aktach Melchiora Lengyel'a p. t. „Tajfun“. Na zdjęciu fragment aktu I-go z p. Morską i p. Boneckim w rolach głównych.